

ŁÓP TAK

13 października 2007

Nr 3/4

AMATORSKA GRUPA TEATRALNA ZAMKOWA *Urodzony w koronie cierniowej*

Urodzony w koronie cierniowej
Wydanie drugie, poprawione

DRAMATIS PERSONAE:

Bohater
(beziemienny, symbol ideowej i emocjonalnej bezdomności świata, nowoczesny Everyman)

AKT I

Scena I

Sterta gazet. Wchodzi Bohater. Cierpi.

Bohater: Cierpię.

Bohater przeszukuje stertę gazet, wyciąga Vougue'a, przegląda.

Bohater: Do diaska. Dlaczego nie ma sekcji „Moda dla bezdomnych”?

KONIEC

DOKĄD?

Przychodzi mi na myśl dowcip o rycerzu, który różnymi formami ujeżdżania konia pragnął zwrócić na siebie uwagę bawiącej nad strumykiem księżniczki, by ta zapytała go dokąd, ach dokąd pędzisz rycerzu na swym karym rumaku? Rycerz miał, naturalnie, z góry gotową odpowiedź – mniejsza o to jaką, bo i mniejsza jakość dowcipu, ważne li, że księżniczka ani myślała zastosować się do założonego przez rycerza scenariusza. Ot, przypadek podobny do „Urodzonego w koronie cierniowej” Dawida Rakowskiego z Amatorskiej Grupy Teatralnej Zamkowa. Także i tu jednostka potyka się o pochopne wyobrażenia o stanie rzeczy.

To bardzo bolesne. Sieradzka Zamkowa pokazała już na ŁÓPTA wrażliwość i mądrość, kto widział ich „Piaskownicę” – przytaknie. I świadomość własnego potencjału winna obliżować, skoro grupa odjeżdżała z naręczem nagród. Kiedy potencjał ów lokuje się w puste gesty, można

tylko rozkładać ręce.

Dawid Rakowski chcąc przedstawiać swoje spojrzenie na świat wciela się w bezdomnego, otacza stosem gazet, kartonów, przywdziewa workowaty płaszcz. Nie zapomina jednak, by pod płaszcz przywdziać modną koszulę a włosy wymodelować a la nieład artystyczny; wiadomo, w pięknym ciele piękny duch. Chciałoby się, żeby powiedział o świecie od siebie. Mówi jednak językiem zapoży-



czonym z otaczających go gazet. Lubuje się w wyrazistych słowach: źli ludzie, zły świat, pieniądze, zdradliwe kobiety, ojciec alkoholik, bezrobocie. Stawia ważne pytania: czym jest miłość? czym jest szczęście? jaki jest sens życia? Dramat goni dramat, skoro każda kolejna historia przeraźliwsza jest od poprzedniej. Straszniej i straszniej. Chciałoby

się rzecz – przenikliwy ów młodzian, tyle doświadczył, tyle już wie o goryczy życia. To i nie dziwi wprowadzenie wątku samobójczego, ten jest w takowej fabule obligatoryjny.

Kliszowość języka, łatwość w szafowaniu problemem i szybkość osądu każą wątpić w wiarygodność postaci. Papierowy bohater papierowymi partiami traktuje o przeczytanych na papierze pragnieniach i problemach. Kanałada opinii przypomina zresztą niekiedy wypowiedzi co bardziej prominentnych polityków (sądzę, że autorzy – pisarz/aktor Dawid Rakowski i reżyserka Sylwia Bogumiła Dęga – powinni poddać rozwadze zwłaszcza wydźwięk terminu „układ”). O zgrozo, przypomina nie tylko leksyką, ale i składnią.

Żeby nie było: podziwiam zapał i pasję młodego twórcy, nie sposób odmówić mu predyspozycji aktorskich

i dobrego samopoczucia na scenie. Doceniam śmiałość zaprezentowania odautorskiego tekstu i pełen jestem pokłasku dla takich inicjatyw. Ale z głową, panie dzieju, z głową. Widz nie musi łaknąć i chyba nie łaknie gotowych recept na życie. Widz ma głowę własną i nie trzeba mu mówić wprost, jaki jest świat, w którym żyje, co jest w nim wartością wyznawaną, a co zapomnianą. Tym bardziej, że nie wszystko musi się jawić jako skrajności; to pytanie do autora – może nie wszystko jest tak jednoznacznie czarne czy białe, może i warto rozważyć skalę odcieni szarości? Bardzo łatwo przychodzi cierpieć i głościć o złu tego świata, jeśli czyni się to na scenie. Przywdziać koronę cierniową, wpisać się w męczennictwo. Łatwo też zmiażdżyć w palcach mrówkę, zawiązać sznurówki, stłuc szklankę. To i łatwo utyskiwać – komu?

Konrad (Chryzostom) Zieliński

TEATR WIELOKROPEK *Zdjęcie z Panem Bogiem*

MOGŁO... A NIE BYŁO, CZYLI O SZTUCE TEATRU
„Zdjęcie z Panem Bogiem” –

- mogło być banalne (wszak sfotografowały się trzy słodkie dziewczątka), a nie było, bo grały jednak trzy dojrzałe dziewczyny, które precyzyjnie wiedzą co i jak chcą powiedzieć;

- mogło być egzaltowane (wszak ich twarzyczki tak jasne, a oczy przejrzyste), a nie było, bo widzą świat przenikliwie i niejednoznacznie;

- mogło być pretensjonalne (wszak białe na nich i czyste sukienki a krew tak czerwona), a nie było, bo nie o sukienki i nie o krew im chodziło, i czasem używały tych znaków przewrotnie lub formalnie;

- mogło być w końcu nieprawdziwe (bo młode i nie-doświadczone), a nie było, bo potrafiły konkretne dramatyczno-publicystyczne historie, dzięki swojej prawdzie, opowiedzieć jako uniwersalne;

- mogło być patetyczne (bo szepty, bo krzyki), a nie było, bo od szeptu do krzyku słyście prawdziwie – przez śmiech, przez zwykłą rozmowę, wyznanie, milczenie.

Gratuluje dobrze przemyślanego ruchu scenicznego,

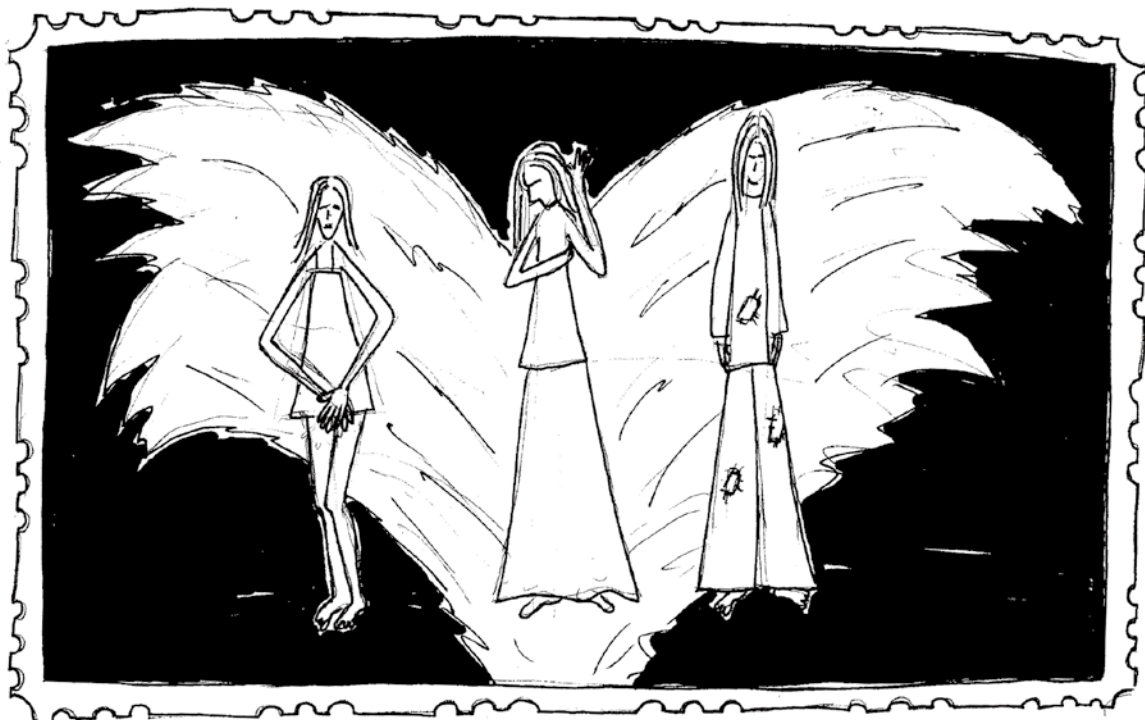
gdzie każdy rekwizyt i gest coś znaczy, gdzie tekst się mówi tak, że widz słyszy i rozumie, i „idzie za wami”. A mówi się go mocno, odważnie od siebie, ale w środkach wyrazu – bez patosu. Dokładnie tyle ile trzeba. I wcale wam nie gratuluje wyboru trudnego tematu, bo dorobiłabym wam tym „pupę”.

W końcu też zdjęcie, które robicie sobie w finale zostanie mi na długo w pamięci, bo błysk, bo krew, bo skowyt zamknięty w niewinnym, zdawałoby się, obrazie.

Rogala

PRZYJAŹŃ PO GRÓB

Z początku te wrzaski nie wróżyły niczego dobrego. Na scenie trzy aktorki, nie wiadomo jeszcze, o co chodzi, a tu od razu wrzaski. Uprzedzono mnie wprawdzie: „Spektakl niezły, ale przekrzyczany” – mówili mi dobrzy ludzie – nie sądziłem jednak, że tak od razu i tak głośno. W ogóle, po ogarnięciu dostępnych wzrokiem elementów scenografii, nieufność do tego, co mnie spotka, zaczęła gwałtownie



rozkwitać. Białe kostiumy, kubeczki z farbą o kolorze krwi. A wszystko to na tle zastawek oklejonych papierem. Brakowało tylko piły mechanicznej.

Rychło się jednak okazało, że nie było powodów do strachu. Kostiumy, rekwizyty i scenografia – to, co zagrażało kiczem, ułożyło się w połączeniu z przedstawianą historią w interesującą i ciekawie skonstruowaną całość. I owszem, była krew i jaskrawo prezentowała się na białych fatalaskach, skórze i włosach aktorek, i owszem – na papierze pozostawiała smugi po zsuwających się po jego powierzchni palcach i tworzyła fantazyjne bryzgi na ścianach. Nie było jednak w tym jakiegokolwiek na siłę wprowadzanej na scenę fascynacji filmami typu gore itp. głupotami. Były trzy opowieści nastoletnich samobójczyń. Trzy przecinające się ze sobą wątki, które wreszcie znajdują wspólne rozwiązanie. Zabieg nieczęsto goszczący na deskach teatralnych, nawet w teatrze offowym, z natury rzeczy dużo bardziej otwartym na rozmaite zabiegi inscenizacyjne i dramaturgiczne, łatwiej wchłaniającym koncepcje, pomysły i techniki rodzące się i rozwijające poza typowym światem teatralnym. Próba ukazania symultanicznej fabuły za pomocą linearnego przedstawienia kojarzy się trochę z filmami Jima Jarmusha z lat osiemdziesiątych. Jest to jednak dość odległe skojarzenie, autorki spektaklu poszukały rozwiązania bardziej dla teatru odpowiedniego, a jednocześnie nietypowego w sumie. Widz, prowadzony ostrożnie przez postaci nastolatki opowiadających o życiowych sytuacjach, które doprowadziły je do ostateczności, powoli zaczyna rozumieć, że zrzucenie losu powoduje, iż postaci owe spotykają się tuż przed śmiercią na dachu wieżowca i mówią do niego już spoza tego świata. Teraz wszystko się już klei: i ten krzyk na początku, i porozmazywana wszędzie czerwona farba, nabryzgana, jakby ją ktoś zrzucił z dużej wysokości w kruchym pojemniku.

Gdy czyta się o tym w recenzji, wydawać się może ta cała rzecz nadto literacka. Zamiast aktorek, jawią się raczej narratorki. Jednakże dziewczynom z Wielokropka sprawa udała się całkiem zgrabnie. Zagrały tak postaci, jak i opowiadane przez nie historie. Stawały się swoimi rodzicami, opinią publiczną, enigmatycznym grubym facetem w rozciągniętym podkoszulku, a nawet jego upierdliwym psem, Pikusiem nieokreślonej rasy.

Niby to wszystko nic takiego niezwykłego. Bo w końcu o czym to młode dziewczyny w teatrze offowym robią spektakle? Ano o molestowaniu seksualnym, odtrąceniu przez rodziców, miłosnych zawodach – i o śmierci, bo Śmierć jest wszakże ich najlepszą przyjaciółką. Z tym, że

skrzywdzone dziewczyny zazwyczaj są zazdrosne. Starają się, by ich spotkania z najlepszą przyjaciółką miały jak najbardziej sekretny charakter. Tu raptem o Śmierci jest tak naprawdę niezwykle mało. I bardzo dobrze, bo to egzaltowana baba i ciężko podejrzewać ją o dobry gust. Za to – wbrew pozorom – bardzo dużo o przyjaźni. Może zawartej na chwilę i w najmniej do tego odpowiednim momencie, ale za to szczerą i trwającą aż do śmierci.

Luc Cypherus

OFIARNICE

Dlaczego ostatnio na scenie zdominowanej przez kobiety taka nienawiść bije do mężczyzn? Feminizm nam się rozprzestrzenił strasznie. Albo po prostu, dziwny zbieg okoliczności na tegorocznej ŁÓPCIE. I dlaczego prawie wszystkie grupy tak pokochały drabinę!? Ech, do rzeczy.

Niżej podpisana dzięki spektaklowi przygotowanemu przez TEATR WIELOKROPEK poczuła się jak na sesji u psychiatry. Do szczęścia zabrakło tylko leżanki. Opowieści o krzywdach z dzieciństwa, zwykłych niepowodzeniach, czy pierwszym kacu po wódce zbiegały się w jednym punkcie – w okolicach czwartej nad ranem na pewnym blokowisku. Sposób przedstawienia różnych historii z życia postaci nie wiele się w sumie różnił. Oparty był na prostym schemacie: albo krzyczę (bardzo głośno), albo płaczę (bo historia ma wzruszyć), albo śmieję się do łez...Bez szczególnego uzasadnienia zmiany tych nastrojów. Ot tak, żeby nie było nudno.

Na scenie głównym rekwizytem była farba. Na początku w puszcze, potem, i już do końca na aktorkach. Ich dziwne, euforyczne to znów desperackie tańce, w żaden sposób nie nawiązywały do przedstawianych historii. I w sumie nie wiem, czemu miały służyć.

Nie ulega jednak wątpliwości, że dziewczyny na scenie tworzyły zgrany zespół. Słuchały siebie i nie popisywały się. I raczej wiedziały, o czym mówią. A to najważniejsze. Choć momentami miało się wrażenie, że po prostu realizują założenia reżysera.

I jeszcze to zdjęcie na koniec, zrobione przez jednego z widzów. One trzy, skrzydła i znów ten krzyk. Tak na koniec. Zamiast „cheese”.

Tylko Boga zabrakło.

J.R

TEATR PO PROSTU *Klisze*

PIWO BEZALKOHOLOWE

Widziałem dużo dużo gorszych przedstawień teatrów szkolnych, więc wychodząc z sali kinowej nie byłem szczególnie rozeźlony. Niemniej jednak, nie da się nie zauważyć, że grupie „Po prostu” nie udało się uniknąć kardynalnego błędu realizacji licealnych. Oto kluczowe miejsce w strukturze spektaklu zajmuje sekwencja symbolicznych, zapewne, scenek rozgrywanych w dramatycznym świetle punktowych reflektorów. Problem w tym, że w większości przypadków są one nieczytelne. I – szczerze – nie wątpię, że w Waszym zamyśle to wszystko tworzyło spójną, sensowną całość, coś z tego, skoro widowiska nie uczestniczy w próbach i nie czyta scenariusza. Da się zrozumieć tylko ogólniki – chcecie coś powiedzieć o sztuczności (koleżan-

ka się maluje), coś o samotności (koleżanka czyta list i rzuca go na podłogę) i nieco więcej o seksie (koleżdy czołgają się przed koleżanką i kuszą jabłkami, kolega wykonuje ruchy proto-kopulacyjne z trzema koleżankami, itd.). Do tego jeszcze jakaś komunika pod obiema postaciami chipsa i wódki, i fatalnie odegrana damska bójka. Wszystko to robi raz lepsze, raz gorsze wrażenie, summa summarum – zostawia obojętnym.

Powiecie zapewne, że tak być miało, że „klisze”, a zatem schematyczne, oderwane i niespójne z natury, impresyjne i w ogóle – ale to za mało. Bo poza tym, że „to było celowo” musi być w tym jakiś faktyczny, nadrzędny cel.

A mogło być przecież lepiej. Udało się zachować jakiś rytm, odpowiednio wydłużyć pierwszą część, skontrasto-

wać z nią wyraziście drugą, zakończyć finałem, w którym, jak rozumiem, ubezpieczacie się, mówicie: to tylko chomik, to nic tak znowu serio, to i tak nie ma sensu. Ale jak nie ma sensu, to, hm, po co? Taka konstatacja, uwierzcie mi, nie wystarcza, aby zniwelować efekt demonstrowanych wcześniej znaków, aby usprawiedliwić wcześniejszą niezborność. Pomijając już grę, która była bardzo nierówna, raz świetna, raz akademijna (w pierwszej części, gdzie mieliście naprawdę poważne zadania, bo przecież zagrać naturalnie nudną imprezę jest dużo trudniej niż demonstrować Tajemnicze Symbole w Mroku) – a jeśli miała być celowo akademijna, to trzeba się było umówić i być konsekwentnym.

Ogólnie szkoda, bo skoro już zdołaliście przygotować skomplikowany strukturalnie spektakl, który nie usypia i nie odrzuca, to mógłby on jeszcze o czymś mówić, czymś wciągać. A tak, cóż, są bąbelki, nie ma procentów.

Adam

MIREK NAHACZYK 88

Wpadli na tę imprezę wszyscy, chciani, niezaproszeni i niechciani. Pierwszych było najmniej. Rozkręcaliśmy się powoli, najpierw trzeba było powyciągać parę osób z ciemnych kątów, nie pytając, co tam robili. Na takiej imprezie nie wszystko jest racjonalne. Gdy już kipnęliśmy na podłodze, pomilczeliśmy trochę, żeby zebrać myśli i anegdotki. Dobrze, że tak zrobiliśmy – wyszło naturalnie. Gdy już zgasił Błażeja, a dziewczyny zaktualizowały indeks znajomości – z kim pogadać, do kogo milczeć – szefowa poszła po piwo. Nie było tego dużo, ale liczy się jakość, a my piliśmy z (najprawdopodobniej) najlepszych butelek na świecie. Trochę nas skołowało i porozrzucało po domu. W piwnicy spotkałem Kaśkę, która nurzała jabłko w białej farbie i mówiła mi o niewinności Ewy oraz czystości jej intencji wobec i tak już spryskanego owocu, w salonie powiedziałem o tym chłopakom i zaczęliśmy wając się po podłodze kusić rajskimi owocami Inkę, ale ona olewa religię i wywaliła jabłko. Anka chyba coś paliła, bo kręciła się na jednej nodze do muzyki z pozytywki w sypialni. Mało tego, wywaliło korki i cała hacjenda zamieniła się w dark house. W świetle księżycy ujrzałem dziewczyny jak piją wódkę. I byłem przerażony. Przecież one zagryzały przed wypiciem! Gdy Aga potłukła lusterko, Julka tak się wkurzyła, że postanowiła włączyć te korki, tym bardziej, że z Marcinem i tak nic nie działała w ciemnościach. I wtedy znaleźliśmy na środku pokoju wiersz autorstwa Marylki, przecudny: o Bogach, stworzeniu świata, z ekologicznym zacięciem. Przeważała tym zaskakującym wieczorkiem autorskim, uciekła. Po lekturze musiałem za nią wybiec. Przecież nie napisała jak chomik miał na imię!

Lukasz

GLUTOPLAZMA

Dopiero w połowie spektaklu zrozumiałem po co on w ogóle powstał: dzieci z Teatru Po prostu chciały się napić piwa. Jakoś tak niezręcznie było skoczyć do sklepu, bo po pierwsze byłoby to banalne, a po drugie zaraz jakaś sprzedawczyni by chciała, żeby jej dowód osobisty pokazać i takie tam pierdoły. A jak się robi sztukę, to nawet z Panią Profesor można po ten browar skoczyć. I żeby to raz jeden! Próba co najmniej raz w tygodniu, a wiadomo, że bez odpowiednio przygotowanych rekwizytów scena się nie uda. A jak mimo to i tak nie wyjdzie dobrze, to trzeba jeszcze raz powtórzyć. I cóż, że nieletni, że szkoła – nie ma lekko, sztuka wymaga poświęceń. W końcu nawet Pani Profesor wyraźnie widzi, jak im ten browar nie wchodzi, że dzieci wołałyby Kubusia marchwiowego albo Pysia, ale cóż począć, skoro takie one ambitne, że nie odpuszczają sceny dopóki nie będzie na próbie należycie zrobiona. „Przecież to położyłoby cały spektakl” – mówią prawie urażonym tonem, kiedy to po kolejnej powtórcie Pani z troską proponuje, żeby może na dzisiaj dały sobie luzu, bo to już godzina późna, rodzice się niepokoją, lekcje nieodrobione, a i sama Pani chętnie by do domu poszła, skoro Ministerstwo Edukacji nie płaci jej za nadgodziny z zajęć pozalekcyjnych, a i dyrektor trochę nosem kręci, bo jest materialnie odpowiedzialny za budynek i w ogóle (a przecież niech no tylko coś się złego stanie na takiej próbie).

Trzeba by jeszcze jakieś uzasadnienie znaleźć dramaturgiczne, ale także i towarzyskie, bo tak walić bronxy i udawać, że to sztuka, to nawet i Pani Profesor by się połapała, że tak chyba teatr offowy nie wygląda. Ale wystarczy zrobić spektakl o imprezie, i wszystko się trzyma kupy. A że przydałby się jakiś scenariusz? Gorzej, gdy impreza duża, spektakl za to ma być bez rozmachu, bo na browar kupę kasy schodzi, więc trzeba ciąć koszty scenografii i środków technicznych, i najlepiej żeby też i nie natryać się niepotrzebnie.

Kiedy dochodzi w końcu do spektaklu, okazuje się, że połowę jego czasu zajmuje scena schodzenia się ekipy.

Pani na próbach coś tam marudziła o problemie (pewnie swoich ma za dużo) i o napięciu dramaturgicznym. To może o tym, że koleżankę ze szkoły chcą wywalić? Bo ponoć to fajnie, jak się mówi o pokoleniowych problemach i – jak to się nazywa? – o palących problemach współczesności. Ze dwa zdania się ukleci.

*

Niestety od strony widowni wszystko to wygląda katastrofalnie. Kilkanaście osób szwędających się bez ładu i składu, bez pomysłu na dialogi... Bez pomysłu na spektakl. Nie można nawet powiedzieć nic o jakimkolwiek teatralnym tworzywie. Jest to raczej jakaś glutoplazma, ciągliwa, a jednocześnie nie poddająca się formowaniu.

„Miałabym ochotę zjeść jabłko” – powiedziała znajoma, gdy siłowaliśmy oglądać te całe Klisze – „ale powstrzymam się. Obawiam się, że rzucisz w nich ogryzkiem.” Miała rację.

Luc Cypherus

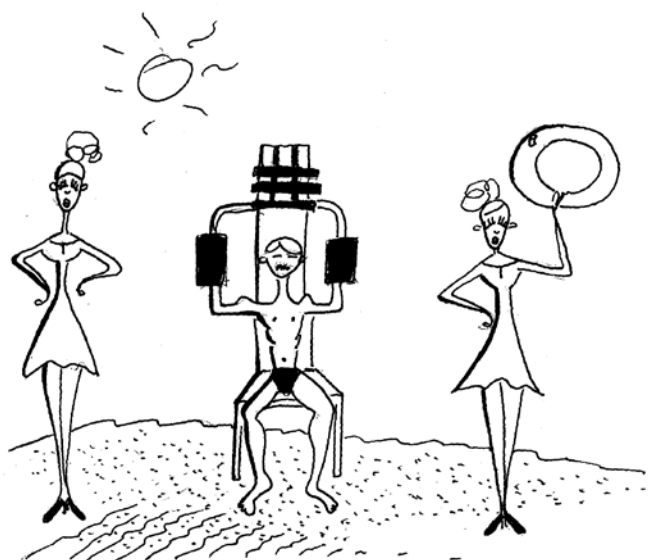


CZARODZIEJKI Z KSIĘŻYCA

Wyrosłem już z Grzesia Turnaua i przyśpiewek twierdzących, iż teatr jest po to, by wszystko było inne niż dotąd, by iść do domu w zdumieniu, w zachwycie i już zawsze odtąd księżyc w misce widzieć. A tu michy cztery, wyszczerzone i jak te księżycy świeące. Tak wyegzaltowane, jak przytoczona zwrotka.

Bo i się Teatr of Manhattan urwał chyba z księżycą. „Złote piaski” oferują popis bezgranicznego samouwieblenia. – Noooooooooooooo... Fajny ten teatr – mogliby rzec apologeci spektaklu. – Ciuszki można fajne ponosić [oj, wątpliwa ta fajność, ale bezguście też jest jakimś gustem, a o gustach się nie dyskutuje], pobiegać sobie, dygnąć, hopnąć, klasnąć w rączki – mogliby dodać, a twórcy ochoczo się pod tym podpisać.

Spektakl to niechybnie relaksacyjny. Oni chodzą; leniwie, niespiesznie, spokojnie. My patrzymy. Głośniki sączą muzykę. Piasek. Plaża. Słońce. Morze. Rybki pipki. Sraty pierdaty. Jeśli to forma relaksu, to li jednostronna. Twórcom miło, widownię szlag trafia. Choć i tu zespół się zabezpieczył – w razie gdyby ktoś nie zdążył do końca umrzeć z nudów, z pomocą przychodzą kłęby dymu chętne zagazować niedobitków. A może to i spisek, by uśpić



czujność i wyplenić jury (siedzące wszak zaraz nad rozpylaczem)? Teza wcale prawdopodobna, nie pierwsze to wykonanie spektaklu, toteż twórcy coś niecoś o recepcji muszą wiedzieć. Na ich miejscu też nie chciałbym słyszeć, co szacowne jury może mieć do powiedzenia na ich temat. Skądinąd każda wypowiedź będzie bogatszą od tej wypowiedzi artystycznej – z niczego nic już się ująć nie da.

Konrad Zieliński

Z ROZMYŚLAŃ STAREGO VOUYERYSTY:

Dzieci zawsze nawiązują znajomości szybciej od dorosłych.

Dorośli często tych znajomości nie akceptują.

Powodem jest zazdrość.

Dzieci nie znają tańców godowych, chyba że piasek jest z czarnej gumy.

Gdy dorośli przegonią dzieci, zazwyczaj kompleksy nie przeszkadzają im w zawarciu bliższej znajomości.

Dzieci nie znają kategorii „bezpiecznego seksu”, za to dorośli dostosowują się, używając gumowych foteli, gumowych zabawek, dotykając się wyrazistymi spojrzeniami.

Na plaży nie widuje się ludzi inspirowanych kiepskim kinem science-fiction lat 80-tych.

Na plaży z piaskiem, słońcem i naturalną opalenizną wszystko odbywa się szybciej.

I bez wyciemnień.

Aha, i bez publiczności.

Wtedy pozostajemy zdrowsi, nie porażeni napuszoną prezentacją dość wątpliwych wdzięków.

Łukasz

Zasłyszane po spektaklu:

Lekcja WF-u na plaży.

Może oni na środkach unijnych jadą.

Chyba na odurzających unijnych.

Zagrał u nich: podstarzały Ken, Chuck Norris i dwie barbinki, bo to było barbikju na plaży.

TEATR ONE *Czwarta pomarańcza*

DOBRA ROBOTA

Świnia byłbym, gdybym złą recenzję napisał. Oczywiście, do monodramu Agnieszki Królikowskiej pewne zastrzeżenia mieć można i chyba trzeba. Początek odrobinę rozwleczony, przedstawienie postaci nazbyt dokładne – a pamiętać trzeba, że w dusznej sali 323 lepiej nie ryzykować nużenia widza i bawienie się w „a o co chodzi, to się później dowiecie”. Niektóre szarże przeszarżowane, niezupełnie chyba potrzebne, bo przecież nie chodziło tu o granie sztucznością i dystansem do roli, wręcz przeciwnie – rzecz miała być naturalna i osobista. I, szczęśliwie, przez 90% czasu to się udawało. Aktorka zachowała wiarygodność, mówiła od siebie i o sobie (albo zręcznie udawała, że mówi o sobie – wówczas ukłony tym większe).

Udało się też utrzymywać napięcie emocjonalne,

nie było ani jednostajnie, ani schematycznie wahadłowo (głośno-cicho, smutno-śmiesznie). Wreszcie, udało się wymknąć z sidła czyhającej za węglem polityczności – co niełatwe jeśli mówi się o aborcji. Szczęśliwie, sztandary pro-life i pro-choice nie wyszły na scenę, gazety przyklepione do dekoracji pozostały w tle – i dobrze, bo tam jest miejsce dla gazetowych dywagacji. W centrum pozostała młoda dziewczyna i jej problem. I choć pewnie znajdą się i tacy, których zakończenie świętym Pawłem zraziło, czy ja wiem, patosem – to przecież niezaplanowana ciąża to nie nieudana impreza czy licealne rozterki egzystencjalne, format tematu większy, więc środki mocniejsze.

Mówiąc krótko, było porządnie aktorsko i reżysersko, uczciwie, o czymś i z sensem. Wreszcie.

Adam

KRÓTKA LEKCJA ZAPŁADNIANIA

Jeżeli do tej pory ktokolwiek na widowni nie wiedział jak się robi dzieci, to miał świetną okazję zobaczyć pomarańczową animację zapładniania wykonaną przez TEATR ONE w spektaklu „Czwarta pomarańcza”. Soki tryskały na prawo i lewo, ale zawsze można to zwalić na towarzyszące (przeogładowi) emocje.

A spektakl był prawdziwy. Dwudziestoletnia Agnieszka siedząc przed nami bez szkodliwego udawania chciała powiedzieć coś ważnego. I mimo, że im dalej tym gorzej, bo i tym razem monodram ukochał sobie środek wyrazu, jakim jest krzyk, to obudziły się we mnie pokłady tak zniechęconego (sic!) feminizmu i nie jestem w stanie przejść obojętnie wobec zgierskiego monodramu.

Z definicji „wpadki” wynika, że jest ona czymś niezaplanowanym. I tu zaczyna się dramat. Młoda dziewczyna, która daleka jest od zmiany dotychczasowego trybu życia, nagle zdaje sobie sprawę, że nigdy już nie będzie tak samo. I podejmuje decyzje. W jej mniemaniu najlepszą.

Historia nie porwała, to prawda. Obyło się bez śpiewów i tańców, nikt nie zapalał sztucznych ogni. W dodatku śmiem twierdzić, że wszyscy siedzący w pierwszym rzędzie z niechęcią będą spoglądać przez jakiś czas na pomarańcze. Z kolei niektóre ciągnące się fragmenty nie pozwalały dostatecznie skupić uwagi na aktorce, ale taka to już przydatność monodramu.

Jasne, że ktoś mógł poczuć się zgorszony „Czwartą pomarańczą”, ale teatr nie może ograniczać się do sztuk przyjemnych. A skoro spektakl wzbudził takie emocje, przy założeniu, że był to efekt oczekiwany, to chyba do-

brze. Miejmy nadzieję, że czegoś nas nauczył. Czego? Pozwólcie, że zostanie to indywidualną sprawą każdego z odbiorców.

J.R

ZONK

„Oj, będzie zong” – pomyślałem, jak tylko wszedłem na spektakl Teatru One. Już pomijam to, że nie było żadnych onych, tylko ona jedna, czyli właściwie one, więc niby wszystko się kleiło, ale już wprowadzało w jakies rozedrganie. I na tym właściwie skończyło się całe zaintrygowanie i cała przygoda ze spektaklem „Czwarta pomarańcza”. Reszta była niezbyt zbornym monologiem o niczym właściwie konkretnym. Zamiast uciekać, gdzie pieprz rośnie, postanowiłem jeszcze trochę poczekać. Tyle to mi przyniosło, że udało mi się wreszcie domyśleć o co chodzi. Ta cała historyczna fuga odegrana została na lęku młodej kobiety, która zachodzi w ciążę i boi się o tym powiedzieć rodzicom. Problem w gruncie rzeczy poważny, ale, niestety, zarznięty w sposób zatrącający o rzeźniczą precyzję. Ani to było przekonujące, ani też bujnie ewokowane emocje nijak się nie przenosiły na odbiorcę (tzn. mnie).

Czego tu zabrakło? Może świadomości, że prawda ludzka wcale nie chodzi z prawdą sceniczną pod rękę. Słowa, które mogą być przekonujące w bezpośredniej rozmowie, wcale takie nie będą podczas przedstawienia... Podobnie z gestami, chociaż te były z kolei niepotrzebnie egzaltowane.

Kiedy już tylko dowiedziałem się, o czym to jest, poczułem się zwolniony z obowiązku dalszego uczestnictwa.

Pacan

AMATORSKA GRUPA TEATRALNA ZAMKOWA *Matka kazała mi chorować*

KTO MÓWI?

Mam kłopot ze spektaklem Magdy Klimczak. Mógłbym powtórzyć wiele z tego, co napisałem już a propos Dawida Rakowskiego, członka tej samej przecież Amatorskiej Grupy Teatralnej Zamkowa. Mam też kłopot o tyle, że nie wiem, czyją wypowiedzią jest spektakl. Czy odautorskim głosem Magdy, czy li tylko zapożyczeniem z powieści Julie Gregory. Konsekwencją są różne materie teatru z jakimi przychodzi obcować, choć każda z nich łączy się z wysuniętymi już uprzednio wątpliwościami. W przypadku zapożyczenia mogę pisać o kłopotach, w jakim znalazł się Dawid; w przypadku osobistej wypowiedzi – o kłopotach kobiet z zespołu Workshop: Łódź Tu i Teraz.

Tuszę, że teatr to więcej niż publicystyka i prosta in-

formacja, że wydarza się jakaś historia to mało - jakkolwiek nie byłaby dramatyczną. W przestrzeni publicznej, w masowych mediach, wystarczająco jest miejsca na suche fakty. Nawet monodram stwarza możliwość dialogu, dialogu na polu aktor – widz. Jeśli jako widz stoję wobec monologu, który wymusza, żebym się nim przejął, bo oto obcuje z godnym ubolewania losem jednostki – włączam mechanizm obronny. Wiele widzę buty w takiej postawie, w roszczeniu sobie pretensji do zaangażowania w czyjeś indywidualne sprawy. Tym bardziej, że nie wiem, czy to nie fikcja – mam się wzruszać przekłamaniami? I cóż mam na to powiedzieć? Urzekła mnie twoja historia? Nie mogę się wzruszyć, gdy ktoś mi nakazuje. Tylko się męczę. Uciekam. Milczę.

Konrad Zieliński

TEATR B-612 *Jaś i Małgosia czyli ogień w głowie*

KURT I MAŁGOSIA, CZYLI JAŚ I OLGA

Potraktować równolegle baśń o Jasiu i Małgosi i dramat „Ogień w głowie” Meyenburga to pomysł tyleż frapujący, co ryzykowny. Wiadomo, dekonstrukcja lepiej się przyjęła na zachodzie niż na rodzimym gruncie i wciąż okrążamy ją wachając nieśmiało, jak przysłowiowy pies niemniej przysłowiowego jeża. Podworujemy sobie zatem, brnijmy w zwierzęce porównania i dodajmy, że ryzyko też w tym, że koń wysoki – co z upadkiem, wiadomo. Jeśli jednak czuwa nad całością znana chyba wszystkim Anna Ciszowska, to i się nikt nie zdziwi, że wilk syty i owca cała.

Kurt i Olga to rodzeństwo o relacjach cokolwiek śmiałych. O wcale mrocznych powinowactwach. Jaś i Małgosia stanowią jakoby projekcje przestrzeni wyobraźniowej Kurta, pewne zmienne czy warianty. Jeśli Olga i Kurt lękają się dorosłości (pomijają ją jednak, traktują jak tabu, przykrywają ją mianem starości), to Jaś i Małgosia są ucieczką w dzieciństwo. Kiedy baśniowe rodzeństwo dobiera się do pokrytej ciastem chlebowej chatki, na scenę zamiast czarownic wychodzą panny młode; czarownica w znanej opowieści jest antropomorfizacją strachu – nie trzeba zatem tłumaczyć konsekwencji odziania tejsze

w suknię ślubną i multiplikacji. W krótkiej scenie zostaje zawarta droga kobiety przez arbitralnie ustanowioną ścieżkę. Mechaniczne, wystudiowane zachowania z czasem zostają zaanektowane jako własne, odtwarzane są z pełną swobodą, a świadomość odtwórczości zostaje wyparta. Tyle, że po tym przychodzi znużenie.

Kiedy dziewczęta podchodzą do mikrofonów by mówić o sobie, teatr staje się aktem spowiedzi. Każda mówi samotnie, jednak głosy się sumują. Kiedy Olga decyduje się podjąć wyznaczoną jej rolę, Kurt – Jaś się od niej oddala. Jaś zostaje z Małgosią, oboje zostają z ojcem. Śpiewana na koniec przez dwie dziewczyny piosenka brzmi gorzko. Wiemy, że mogłoby dołączyć wiele więcej dziewcząt. Te są jednak nieobecne. Śpiew jest cichy. Wątki. Samotny.

Konrad Zieliński

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA

Jeśli najbardziej banalny zarzut, jaki krytyk może wystosować wobec spektaklu to „przerost formy nad treścią”, niech będzie mi wolno spróbować zaskarżyć sobie miano krytyka oryginalnego i napisać, że w przypadku najnowszego spektaklu Anny Ciszowskiej mieliśmy do czynienia z delikatnym przerostem treści nad formą.

Porzucając niewygodny kostium krytyka, powiem po prostu jako konsument kultury, że warstwa publicystyczna spektaklu mnie usatysfakcjonowała. Poruszana problematyka jest niewątpliwie ważką, a słowa aktorów momentami brzmiały wyjątkowo szczerze, przekonująco i naturalnie, zwłaszcza jeśli porównać je np. do lamentów nt. powszechnej beznadziejności artykułowanych parę lat temu w „Kadrach”, które, było nie było, wygrały Łóptę. O buncie młodych, niezgodzie na dorastanie i starzeniu, poszukiwaniu tożsamości i pierwszym seksie mówiono i mówi się wciąż – w powieściach, dramatach, bajkach i pismach młodzieżowych – jednak to, co usłyszałem dziś popołudniu, miało spory walor autentyczności, świeżości.

Natomiast ten sam konsument kultury, który z zainteresowaniem wysłuchiwał mądrych i odważnych wyurużeń młodych twórców, mniej ukontentowany był przeżyciem czysto teatralnym. Oczywiście, nietrudno zrozumieć intencje – ascetyczna forma miała pozwolić wybrzmieć słowu z całą mocą. I pozwoliła. Problem w tym, że niewiele dodawała w moim odczuciu do scenariusza zapisanego na papierze. Co robili aktorzy? Mówili, mówili, mówili. Czy grali? Czasem, choć nie mogę pozbyć się wrażenia, że mogliby zmieniać pozycje i kostiumy zupełnie dowolnie – i niewiele by to zmieniło – tak kompletnie zmarginalizowane były środki pozawerbalne. Ta asceza może mieć oczywiście swój dyskretny urok, tak jak i typowe dla teatrów z VI LO wychodzenie z teatralnych ról (tu np. poprzez

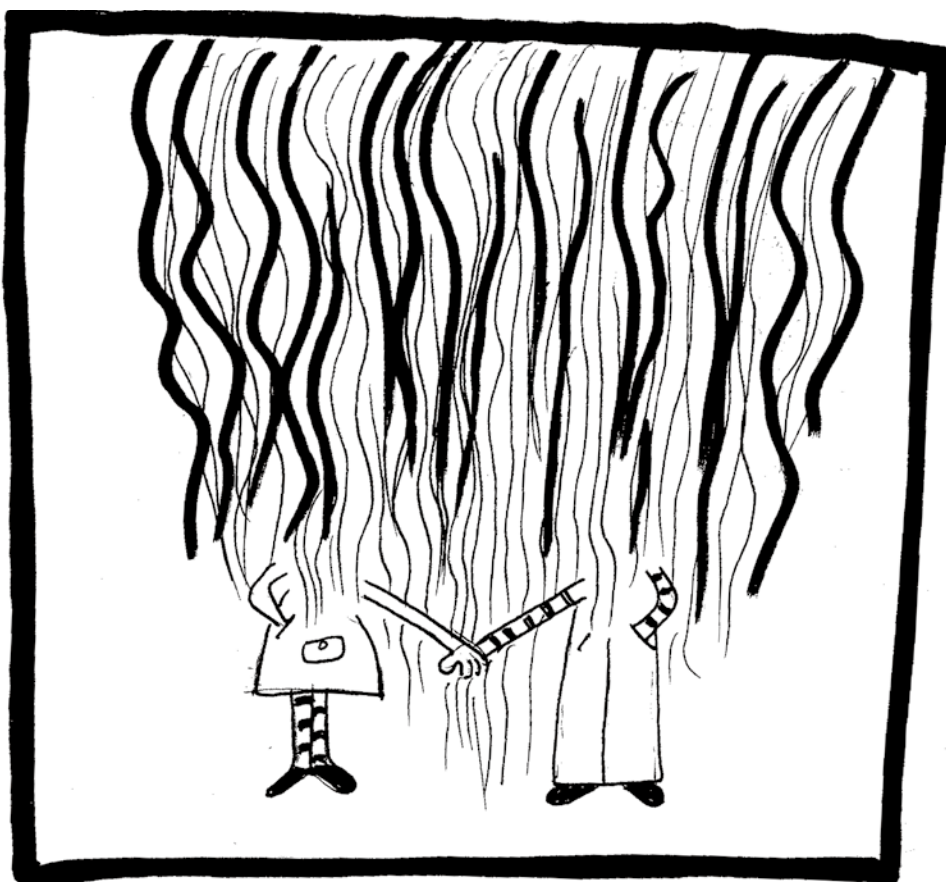
stawanie przy mikrofonie) – nie zastąpi jednak dramaturgii, napięcia emocjonalnego, mocnego uderzenia czy estetycznego uwiedzenia jakimś środkiem czysto teatralnym. Finalny śpiew, cóż, mi nie wystarczył jako finał.

Adam

UNIWERSALNA RECENZJA SPEKTAKLU ANNY CISZOWSKIEJ

Anna Ciszowska, z całą pewnością wykonuje niezwykłą pracę edukacyjną, ucząc kolejne pokolenia młodych ludzi gustu teatralnego, świadomego używania środków teatralnych, pokazuje jak być na scenie, jak tworzyć grupę. Wiele by można zupełnie szczerze i wiele dobrego o jej pracy z młodzieżą napisać.

A co do warsztatu... tak... Anna Ciszowska, z całą pewnością wykonuje niezwykłą pracę edukacyjną, ucząc



kolejne pokolenia młodych ludzi gustu teatralnego, świadomego używania środków teatralnych, pokazuje jak być na scenie, jak tworzyć grupę. Wiele by można zupełnie szczerze i wiele dobrego o jej pracy z młodzieżą napisać.

A co do spektaklu... tak... Można by bez końca. Anna Ciszowska, z całą pewnością wykonuje niezwykłą pracę edukacyjną, ucząc kolejne pokolenia młodych ludzi gustu teatralnego, świadomego używania środków teatralnych, pokazuje jak być na scenie, jak tworzyć grupę. Wiele by można zupełnie szczerze i wiele dobrego o jej pracy z młodzieżą napisać.

...

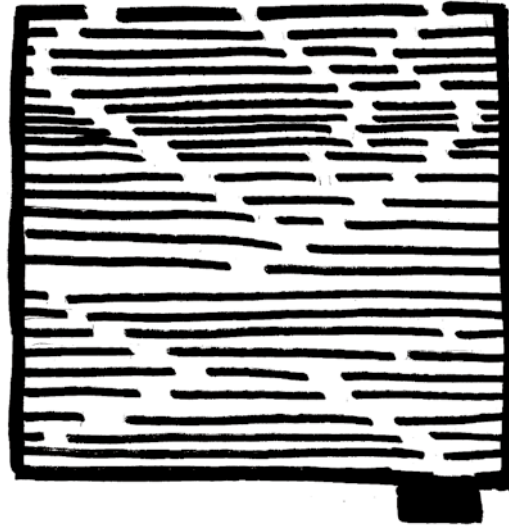
Rogała

P.S. Naprawdę doceniam, ale mnie w teatrze nie chodzi tylko o edukację, ale też o autentyczność i prawdę przekazu.

PRZECHADZKA PO LABIRYNCIE

Spektakle oparte na tekstach poetyckich stanowią czasami problem. Ich wieloznaczność powoduje, iż lepiej od razu porzucić próby doszukiwania się fabuły. Lepiej od razu uruchomić emocje i plastyczną wrażliwość. Tak właśnie dzieje się w Labiryncie wyreżyserowanym przez Kingę Zajdel. Rozmaite aspekty świata – od zabawy, poprzez dążność do sukcesu, do troski o zdrowie i pracy zawodowej – zbudowane są z fragmentów wierszy rozmaitych poetów. Owa materia literacka stanowi tu swoisty filtr, który pozwala reżyserce traktować rzeczywistość w sposób subiektywny i, zdaje się, intuicyjny. Bal, raut, zabawa jest tu (np. poprzez wykorzystanie utworu Tuwima) przedstawiony jako miejsce, w którym króluje nie radość, a agresja i złość. Lekarskie zabiegi stają się aktami przemocy, a uprawianie sportu jest zwykłą społeczną manipulacją. Zresztą do końca też nie wiadomo, czy tak jest naprawdę. Tak jak aktorzy na scenie, również i znaczenia wypowiedzianych przez nich słów, kryją się w półmroku.

Osobiście nie należę do fanatyków, którzy chcą postrzegać teatr jako miejsce opowiadania klarownych historyjek. Z drugiej strony, mało czego tak się obawiam, jak taniej egzaltacji, za którą nie stoi nic poza artystowskim zadaniem. Tu jednak, mimo wstępnych obaw, twórcom



i realizatorom Labiryntu udało się znaleźć równowagę pomiędzy niedomówieniem a chęcią przekazania widzom swojego komunikatu. Pomagało w tym plastyczne zakomponowanie scen. Było parę ładnych obrazów.

Wszystko to razem powodowało, iż spacer po labiryncie wykreowanym przez Scenę Poetycką Forum był naprawdę przyjemną przechadzką.

Luc Cypherus

LABIRYNT

Ciekawy, poetycki spektakl z kilkoma pobudzającymi wyobraźnię obrazami, z nostalgicznym klimatem i momentami ciekawą muzyką. Niepokoi mnie jednak łatwość z jaką twórcy posługują się na przykład dźwiękiem i światłem. Można sobie bowiem wyobrazić, że stosunkowo prosto jest mówić poetycki tekst z podkładem romantyczno-sentymentalnym, będąc w dodatku słabo, acz tajemniczo oświetlonym. Nie, nie chcę być złośliwa, bo przecież poezja tak zaprezentowana wygląda i brzmi ładnie, myślę tylko, że tej grupie ludzi, których zobaczyłam w spektaklu „Labirynt”, należy się większe wyzwanie. Raczej utrudnienie niż ułatwienie, jakiś zgrzyt, cisza, pełne światło, które sprawi, że teksty nie będą tak gładkie i miłe w dotyku, ale zaczną nas, widzów, poruszać. Sugerowałabym skreślanie środków wspomagających aktorów i postawienie na nich samych.

Poza tym dzięki.

Rogala

GRUPA TEATRALNA DZIEWIEĆSIŁ *W drodze*

ZNÓW WĘDRUJEMY

Jasne, można się czepiać anachroniczności, że znamy to z Becketta, Steinbecka, że wszystko już było. Że przegadane, miejscami nudnawe. Hłasko był temat podjął na nowo a za Markiem Hłasko podjęła temat Grupa Teatralna Dziewięćsił. O tyleśmy zaskoczeni, że znając twórczość i poetykę Dziewięćsił spodziewaliśmy się wszystkiego, tylko nie powiewu świeżości ze strony zespołu Andrzeja Czernego.

A jednak! – rzekł akwizytor z reklamy proszku do prania, który gładko zmieściłby się w jednym z filmowych kolaży wplecionych w ramy spektaklu. Bo i właśnie, kolaże rzecz ożywiały, umożliwiały oddech po kolejnych kanonach słów, zastępach utyskiwań, ale też kreowały do nich dystans, brały w nawias. Po raz kolejny tego dnia wygłaszane wobec niesprawiedliwego świata zarzuty zderzane były z kadrami z disneyowskiego Piotrusia Pana, FashionTV, Michaela Douglasa wyciętego z „Wall Street”. Piotr Maszorek i Tomasz Kozuchowski budowali role przekonujące, ale i umieli się do nich zdystansować. Wszystko to nie po to, by zgłosić wątpliwość wobec zastanej rzeczywistości, ale by tchnąć w tę rzeczywistość kapkę nadziei. Zapostulować, by nie dziadzić, gorzknieć, gnuśnieć, ale w takt „Somewhere over the rainbow” w interpretacji Marleya wędrować rażno przed siebie.

Konrad Zieliński

PRZEMIANA

Odniesienia literackie Teatru Dziewięćsił są jego znakiem firmowym. Różewicz, Schulz, Rimbaud etc.; teraz Hłasko. Literatura tym razem nie była pierwszoplanowa, zespół zastosował takie formy przekazu jak np.: film dokumentalny. Wprowadzało to pewną lekkość. Dotychczasowa forma Dziewięćsiłu opierała się na bardzo poważnym podejściu do przedsięwziętych tematów i ortodoksyjnym rozumieniu scenicznej formy. Z jednej strony Dziewięćsił zawsze był teatrem offowym, jednakże nigdy nie dystansował się od metod znanych i uznanych w teatrze instytucjonalnym. Nawet kiedy teatr instytucjonalny zaczął stosować rozwiązania podpatrzone w offie, Dziewięćsił nadal pozostawał na swoim miejscu. Z jednej strony budzi to szacunek, z drugiej – bywa nieco męczące. A tu, proszę, jaka interesująca odmiana.

Mało tego, sami aktorzy zdawali się mieć dystans do odgrywanych ról, jeden cytował Becketta, drugi zniewieścił Hłaskę. Nawet, gdy zostawali na dłużej sami na scenie i pozostawali opuszczeni bez środków, to zdawali się dobrze bawić. Tylko zabrakło autentyczności podróży. Momentami nie wiadomo było, czy chłopcy przeżyli przygodę, czy cytują dla zabawy.

Jednakże te chwile wątpliwości nie psuły ogólnego przekonania, iż „W drodze” jest pewnym etapem w pracy zespołu. W drodze twórczej.

101 Guys

Stopa:
 | Ania Rogala, Adam Gniazdowski, Joanna Rybus, |
 | Ania Sampolska, Łukasz Urbaniak, Konrad Zieliński, |
 | Rafał Zięba |
 | Agnieszka Marzęta (rysunki), Konrad Zieliński (rysunki) |
 | Norbert Młynczak (skład) |